



**HIS
TORIA
PO
KOLE
NIA**

GRZEGORZ

**S C H E
T Y
N A**

**w rozmowie
z Cezarym
Michalskim**

wydawnictwo
poltext

**HIS
TORIA
PO
KOLE
NIA**

**HIS
TORIA
PO
KOLE
NIA**

GRZEGORZ

S C H E

T Y

N A

w rozmowie
z Cezarym
Michalskim

wydawnictwo
poltext

Redakcja: Anna Żółcińska

Projekt okładki: Michał Duława | michaldulawa.pl

Zdjęcia na okładce:

Grzegorza Schetyny – Maciej Śmiarowski

Cezarego Michalskiego – archiwum rodzinne

Skład: Amadeusz Targoński | targonski.pl

Copyright © 2019 Grzegorz Schetyna

Copyright © 2019 Cezary Michalski

Copyright © 2019 Poltext Sp. z o.o.

All rights reserved

Warszawa 2019

Wydanie I

Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórcy i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując ją, rób to jedynie na użytek osobisty.

Szanujmy cudzą własność i prawo!

Polska Izba Książki

Więcej o prawie autorskim na www.legalnakultura.pl.

Honoraria autorskie z tytułu sprzedaży każdego egzemplarza książki zostaną przekazane na cele charytatywne.

Poltext Sp. z o.o.

www.poltext.pl

handlowy@mtbiznes.pl

ISBN 978-83-8175-016-5

Kalinie i Natalii

Spis treści

I. Rodzice byli w AK.....	8
II. Butelki z benzyną.....	44
III. Radykał buduje państwo.....	76
IV. „Czyja jest Polska”.....	98
V. Zwycięstwa i porażki liberałów.....	132
VI. Czy istnieje życie poza polityką.....	160
VII. Powrót na polityczne boisko.....	178
VIII. Idziemy na swoje - liberałowie w Platformie Obywatelskiej.....	202
IX. Wojna zamiast PO-PiS-u.....	232
X. Najlepsza kadencja PO i koniec długiej przyjaźni.....	268
XI. Spadł samolot	
XII. Osobno i obok siebie.....	318
XIII. Mamy z kim przegrać.....	352
XIV. Umowa z Platformą i umowa z Polską.....	378
FOTOGRAFIE.....	405

I.

Rodzice byli w AK

Jedni uciekają z domu, inni za nim tęsknią. Jak to było u ciebie?

Ja jestem z tych drugich.

Twój pierwszy zapamiętany obrazek z dzieciństwa?

Opole, mieszkam z rodzicami i starszym bratem w ponemieckim dwupiętrowym bloku zbudowanym przed wojną na mieszkania dla urzędników. Centrum miasta, podwórko i sąsiad emerytowany milicjant. Nasza rodzina jest bardzo antykomunistyczna, więc wieczorami słuchamy z ojcem Wolnej Europy. My słuchamy, ale boimy się, że sąsiad podsłuchuje. O każdej pełnej godzinie RWE emituje sygnał: „Tu Rozgłośnia Polska Radia Wolna Europa”. I o każdej pełnej godzinie ojciec ma „atak” kaszlu.

Czyli można powiedzieć, że zagłuszał Wolną Europę.

Zgadza się, zagłuszał przed sąsiadem.

Dom jest antykomunistyczny i jaki jeszcze?

Klasyczny, nauczycielski. Ojciec w Poznaniu kończył biologię i chemię, mama AWF i polonistykę we Wrocławiu. Do Opola trafili w 1952 roku z nakazem pracy. I jeszcze jedna ważna rzecz z mojego dzieciństwa: cały nasz dom był przesiąknięty miłością do Lwowa i Kresów, bo ojciec stamtąd pochodził.

Czego nasłuchałeś się o tym „waszym Lwowie”?

Lwów wracał ciągle, przy każdej okazji. Nostalgia, „magiczne miasto”. Powiem ci, że najwięcej opowieści „stamtąd” znałem wcale nie od taty, ale od jego kolegów. Przecież do południowo-zachodniej Polski zjechał „cały Lwów”. Koledzy ojca mieszkali w Gliwicach, Zabrze, Wrocławiu, no i oczywiście w Opolu. Pierwsza knajpa, jaka powstała w naszym mieście w 1945 roku, była na rogu Katowickiej i 1 Maja, a nazywała się „Lwowianka”. Kresowi znajomi odwiedzali nas i wspominali z ojcem całymi godzinami. Pamiętam, jak któryś z nich dostał płytę z Londynu, lwowskie piosenki: „Szczepcio i Tońcio”. Puszczała tę płytę na okrągło, płakali, rozmawiali. Szarpało za serce, ale jednocześnie było pogodne. Jednak atmosfera w domu z tego powodu była, nie chcę użyć tego słowa...

„Tymczasowość”?

Właśnie! Mój tata przyjechał z rodzicami ze Lwowa jednym z ostatnich transportów, w lipcu w czterdziestym szóstym

roku. Osiedlili się najpierw w Bystrzycy Kłodzkiej. Ojciec opowiadał mi dużo o tej tymczasowości. On pojechał do Poznania na studia, gdzie mieszkała już jego siostra, która wyjechała wcześniej. Jakoś się przystosowywał do życia w nowym świecie. Ale dziadkowie? Nawet nie otworzyli wszystkich skrzyń z rzeczami. Dlaczego? „A po co otwierać? Zaraz wracamy!” Oczywiście nigdzie już nie wrócili. Dziadek zmarł i leży w Bystrzycy, babcia w Poznaniu, bo na starość zamieszkała u swojej córki, a mojej ciotki – okulistki.

Ojciec zabrał cię kiedyś do Lwowa?

To było w 1973 roku. Jedziemy samochodem, ulicą Łyczakowską zjechaliśmy z góry od Cmentarza Łyczakowskiego. W połowie drogi ojciec zatrzymuje auto, zjeżdża na pobocze. Nie jest w stanie prowadzić, tak był wzruszony. To był jego pierwszy powrót do Lwowa po 1946 roku.

Ulica Łyczakowska miała dla twojego ojca jakieś szczególne znaczenie?

On tam przecież mieszkał. Niedaleko placu Bernardyńskiego. I chodził tam do bardzo dobrego gimnazjum Sokoła. Do klasy równoległej uczęszczał np. Adam Hanzkiewicz.

Tajne sprzyśnięcie kresowiaków?

Coś w tym rodzaju, wszyscy przyglądali się sobie po cichu, patrzyli, kto daje radę, trzyma się prosto i nie zapomina.

Do tego służyły też wasze wyjazdy do Lwowa, żeby nie zapomnieć?

Pewnie tak. Ojciec pokazuje mi swoje gimnazjum, idziemy do kościoła Dominikanów, gdzie był ministrantem. Wchodzimy, a tam muzeum ateizmu i historii religii. No i oczywiście wszystkie historie o Pogoni Lwów. Jak do Lwowa z Krakowa przyjeżdżała Wisła, a on z kolegami oglądał mecz, siedząc na drzewie. Potem goniła ich policja. Ojciec mi powtarzał: „Zadymy? Jakie to teraz zadymy? Nas to konna policja musiała rozganiać”. Pokolenie ojca wszystko przeżywało silnie, także to kibicowanie. Przecież piłkarskie barwy Polonii Lwów, niebiesko-czerwone, zostały przeniesione do miast zachodniej Polski: Pogoń Szczecin, Odra Opole, Piast Gliwice. Te barwy to miłość do Lwowa. Ta wyprawa i wspomnienia ojca dały mi obraz wielkiego, dumnego miasta. Lwów wracał do ojca ze zdwojoną siłą, kiedy przyjeżdżał potem z Opola do Wrocławia, gdzie studiowałem. We Wrocławiu było najwięcej przesiedleńców ze Lwowa. W latach osiemdziesiątych to było jeszcze bardzo żywe. Niemal wszyscy byli „stamtąd” i doskonale pamiętali „to miejsce”.

Co najbardziej zostało ci w pamięci z tamtej pierwszej wyprawy do Lwowa?

Poszliśmy z ojcem do jego mieszkania, na Łyczakowską 4/11. Zapukaliśmy, jakaś kobieta otwiera drzwi. Rosjanka. Zaprosiła nas do środka, popatrzyła na nas i w pierwszym zdaniu mówi do ojca: „Wy zdes' żyli!”.

Od razu się domyśliła.

Musielismy mieć takie miny, że chyba nie miała wątpliwości. Ojciec opowiadał szczegóły – co gdzie było. Łącznie

z tym, że zostawił legitymację AK w lampie, jak wyjeżdżał ze Lwowa.

Znalazła się?

Już nawet tej lampy nie było.

Jak potem jeździłeś do Lwowa, np. jako szef MSZ, włączał ci się film: „Aha, znam to miejsce, ojciec opowiadał”?

Oczywiście. Jeździłem do Lwowa jako marszałek Sejmu, byłem kilka razy jako wicepremier. Ukraińcy szybko skojarzyli, że jestem „stąd” i dom przy Łyczakowskiej został porządnie odmalowany. To było sympatyczne. I druga ciekawostka. Pamiętam długie i wieloetapowe negocjacje w sprawie Domu Polskiego. Burmistrz Lwowa Andrzej Sadowski w rozmowach ze mną deklarował, że bardzo chce pomóc, ale nie ma decyzji Rady Miejskiej, która nie chce przegłosować lokalizacji. Niby wszystko jest, niby na wyciągnięcie ręki, ale dalej nic się nie rusza. Wiesz, jak to się dzieje na Wschodzie.

Lwowska Rada Miejska często w podobnych sprawach stawała okoniem.

Zgadza się. Burmistrz był w porządku, ale nie miał w radzie większości, a do tego bardzo silną frakcję miała tam nacjonalistyczna partia Swoboda. Opowiem anegdotę. Jestem szefem sejmowej Komisji Spraw Zagranicznych, w Kijowie odbywa się duża polityczna konferencja na temat europejskiej przyszłości Ukrainy. Jak można pomóc jej aspiracjom, przenieść to wszystko na grunt brukselski. Przyjechałem w towarzystwie tuzów z Trójkąta Weimarskiego: była

szefowa Komisji Spraw Zagranicznych Zgromadzenia Narodowego Francji Elisabeth Guigou i szef Komisji Spraw Zagranicznych Bundestagu Norbert Röttgen. Na spotkaniu jest Ołeh Tiahnybok, lider Swobody. Po spotkaniu podchodzi do mnie i pyta: „A skąd jest twój ojciec?”. Ja mówię: „Ze Lwowa, z Łyczakowskiej”. „To wiedzą wszyscy, pytam jaki numer”. „Spod czwórki, to będzie koło placu Bernardyńskiego”. „Ale przed apteką czy za?” „Za”. „Aha. Ja to miejsce znam, bo mieszkam osiemdziesiąt metrów od apteki”.

Rzeczywiście chciał powspominać, czy cię sprawdzał, czy ich nie nabierasz na lwowską nostalgię?

Pewnie jedno i drugie. Rozeszliśmy się wtedy, a niedługo potem Swoboda w sprawie lokalizacji Domu Polskiego zagłosowała w końcu „za”. Potem już jako minister spraw zagranicznych pojechałem wmurować kamień węgielny pod ten dom. Ale to już było po przegranych przez nas w 2015 roku wyborach.

Twoje nazwisko nie jest kresowe. Przeczytałem w pewnym druku ulotnym, że Schetyna w prosty sposób pochodzi od Szatana!

A ja słyszałem, że muszę być Niemcem, bo jeśli pomyśleć dobrze, to sprawa jest prosta: Śląsk Opolski, gdzie się urodziłem, plus to dziwne „Sch...” w nazwisku. I co nam to daje...?

Ukrytą opcję niemiecką?

Tak jest – Schetyna, Szetyna, pewnie jakiś Niemiec. Tylko że to wszystko kulą w płot, bo my jesteśmy ze

Wschodu, a nazwisko jest dziwne, bo francuskie. Pewien napoleoński oficer o nazwisku d'Chatin – czyli że pochodził z Chatin, więc po polsku to by było Szetyński – wraz z resztkami Wielkiej Armii wracał w 1812 spod Moskwy.

I zatrzymał się dla podreperowania sił w jakimś polskim majątku?

W Trembowli. Z czasem d'Chatin zmieniło się na Schetyna. Mój dziadek urodził się w Tarnopolu, potem przeniósł się do Lwowa, gdzie był urzędnikiem sądowym. To „Sch” jest dla nas ważne. Pamiętam, jak ojciec walczył, by nam urzędnicy nie „spolszczali” nazwiska i nie zrobili z tego „Szetyny”. Takie „spolszczanie” było dość powszechne po wojnie na Opolszczyźnie. Część rodziny się nie oparła. Stąd na cmentarzu w Opolu są groby Schetynow i Szetynow.

Ale ojciec jak zwykle wierny? Wspominałeś, że był żołnierzem AK.

Tata urodził się w 1924 roku, więc przysięgę w AK składał w 1942 jako osiemnastoletni młodzieniec. Był wysoki, 180 centymetrów, najwyższy w tajnej podchorążówce. Konspiracja we Lwowie była specyficzna. Wielu pracowników naukowych jako oficerów, wszystko naprawdę nieźle zorganizowane. Ojciec o wojnie opowiadał obrazami. Okupacja sowiecka po 1939 roku, pierwsze wywózki inteligencji. Druga, trzecia w nocy przyszli do sąsiadów. Płacz. Sowiecki żołnierz wyciąga kołdrę z łóżka, otwiera szafę, wrzuca ubrania na kołdrę, zwią-

zuje tobołek i mówi do tych płaczących ludzi, którzy nie chcą wychodzić: „Weźcie to, bo tam, gdzie jedziecie, uratuje wam życie”.

Ojciec mówił też o małym sabotażu, który był już w czterdziestym roku. NKWD się nie patyczkowało. Byli w stanie kilkunastu podejrzanych wywieźć razem z rodzinami. Pewność? Dowody? Ich to nie obchodziło.

Inny obraz: Sowieci przed wyjściem z miasta w 1941 roku mordują więźniów politycznych, w sumie kilka tysięcy osób. Jeszcze przed wkroczeniem Wehrmachtu sowiecki mord zostaje wykorzystany jako pretekst do rozpoczęcia pogromu Żydów. Albo likwidacja getta w 1943 roku. Plac Bernardyński, otwiera się kłapa studzienki kanalizacyjnej. Wychodzą ludzie, wiadomo, że to Żydzi. Godzina 15, normalny ruch miejski, granatowa policja. Wszyscy udają, że nic nie widzą, a tu nagle jakaś kobieta biegnie do policjantów: „Panowie, panowie, Żydzi z getta uciekają. Róbcie coś!”. Oni się odwracają, ale ona nie odpuszcza: „Panowie! Słyszycie! Uciekają!”.

A tak w ogóle to oprócz konspirowania tata ostro zasuwiał fizycznie przez całą okupację. Jego rodzice byli już wiekowi, do tego siostra. Pracował więc przy remoncie pociągów, potem był w straży pożarnej.

Co opowiadał synom o swojej walce? Ironia, patos, próba rozliczenia przeszłości? Wielu byłych AK-owców miało pretensje, także do swoich dowódców, o to, że historia ich tak skotłowała.

No właśnie on niewiele chciał opowiadać. Tylko czasem w naszych domowych rozmowach pojawiały się takie urywki historii, jakby to było jakieś tabu.

A było coś, co należało ukrywać przed dziećmi?

W sumie tak, bo w końcu okazało się, że ojciec, który miał zaufanie dowódców, był w ekipie, która wykonywała wyroki śmierci. No wiesz, tych skazanych przez sądy Państwa Podziemnego za kolaborację, za szmalcownictwo. Ojciec nie lubił o tym mówić, a matka też pilnowała, żeby tych tematów przy nas nie poruszał.

Ojciec wykonywał wyroki?

Mówił, że nie. Według jego słów to było inaczej zorganizowane. Jego ekipa zapewniała broń, osłaniała, dbała o sprawny odwrót. Natomiast strzelali ludzie spoza organizacji. Lwowscy „baciarzy” wynajmowani do tego zadania za pieniądze.

Więc do mokrej roboty AK wynajmowało zawodowych kilerów?

Oni pociągali za spust. Ale „regularna” wojskowa ekipa była zawsze obok. Więc ojciec widział to z bardzo bliska, w sumie brał w tym udział. To musiało być dla młodego chłopaka traumatyczne. Kiedyś opowiadał starszemu bratu, że przecież to działo się w miejscach publicznych, więc czasem przypadkowo obrywali cywile. Od takich wspomnień trudno się opędzić.

Cała zachodnia część Ukrainy jest dla Polaków pełna wspomnień, od których trudno się opędzić.

Wiadomo. Wołyń w sensie geograficznym był gdzie indziej niż Lwów, ale przecież ludzie wiedzieli, co się tam działo. Wiedzieli i wtedy, i potem, po wojnie. Rodzice, gdy mieszkaliśmy w Opolu, mieli wielu znajomych pochodzą-

cych z Wołynia. Pamiętam, że jako dziecko chodziłem z rodzicami na różne dorosłe imprezy towarzyskie. Jakieś imieniny, urodziny... Czasami ktoś zaczynał opowiadać o Wołyniu. Gdy tylko pojawiał się to słowo, mama kazała nam wychodzić do innego pokoju.

Wyrzucali dzieci, żeby je uchronić przed traumą? To zupełnie inny stosunek do historii niż u dzisiejszych „rekonstruktorów”.

Słyszeliśmy tylko, jak mama mówi podniesionym głosem do taty i jego kolegów: „Nie wolno o takich strasznych sprawach przy dzieciach”. Ale wspomnienia żyły w tych ludziach. Były prawdziwe i potworne. Zapamiętałem także to, że wyczuwałem u ojca spory dystans wobec Ukraińców.

Mama też konspirowała?

Tak. Mieszkała pod Radomskiem, chodziła w Radomsku do szkoły i tam konspirowała. Mama jest z rocznika dwudziestego dziewiątego, a w czterdziestym trzecim złożyła przysięgę. Odbierał ją jej gimnazjalny nauczyciel, pan Franciszek Brzozowski. Był dowódcą okręgu AK, koordynował przekazywanie meldunków, pracę łączników. Uczniowie byli wymarzonymi łącznikami. Mama jako gimnazjalistka została więc łączniczką AK. Akurat ona zawsze dużo o tym opowiadała. Potem zaangażowała się w Światowy Związek Żołnierzy Armii Krajowej. Po 1989 roku, jak już byli z ojcem na emeryturze, organizowali wydawanie biuletynu Armii Krajowej.

Było was dwóch w domu?

Janusz i ja. Brat był o dziewięć i pół roku starszy. W pięćdziesiątym drugim rodzice wzięli ślub, zamieszkali w Opolu. Mama pracowała w bibliotece pedagogicznej, ojciec w Technikum Materiałów Wiążących, które dostarczało przyszłych kadr dla cementowni. Tata uczył chemii. Był znanym i bardzo dobrym nauczycielem. Często spotykałem jego wychowanków. Mówili: „Miał dar nauczania”.

Rozumiem, że w czasach PRL-u poza domem rodzice nie przyznawali się głośno do tej swojej przeszłości AK-owskiej?

W latach czterdziestych czy pięćdziesiątych było niebezpiecznie o tym mówić. Ale na przykład w 1956 roku zaangażowali się w akcję solidarnościową z rozjechanym przez rosyjskie czołgi Budapesztem. Mama organizowała zbiórkę krwi.

To już było ryzyko, szczególnie na prowincji. Nie miała później przez to kłopotów?

Ojciec był bardzo dobrym nauczycielem, lubianym przez uczniów, znanym w mieście. Miasto też nie było za duże, więc niektóre rzeczy jakoś przechodziły. To, że słuchali RWE, że nigdy nie zapisali się do partii.

Tak by było łatwiej?

Jasne, przecież ich naciskali – a to doktorat, a to kariera, awans, ale oni nie chcieli. Mówili, że wybrali właśnie takie życie, żeby nie być nigdy po „tamtej” stronie. Byli w tym bardzo zasadniczy. Antypartyjni, antykarierowiczowscy. Kościół, Gierdoyc, paryska „Kultura”. Ojciec miał

taką teorię, mówił mi o tym jeszcze w głębokim PRL-u: „Wiesz, Europa kiedyś będzie jak Stany Zjednoczone”. Wtedy myślałem, że opowiada bajki. W latach sześćdziesiątych rodzice kupili samochód, szybko zaczęliśmy jeździć za granicę, także na Zachód.

Dali wam paszporty?

Dali. Chyba dlatego, że – jak ci mówiłem – Opole to małe miasto i niektóre rzeczy przechodziły, jak się było kimś zwyczajnie lubianym, z autorytetem, jak moi rodzice. Oczywiście trzeba było jeszcze zdobyć wizy, po które wystawaliśmy w kolejkach. To było poważne, rozpisane na całe miesiące przedsięwzięcie. Ale było warto, bo kończyło się to wszystko trzytygodniowym wyjazdem. Pierwszy raz wyjechaliśmy na Węgry, potem do Rumunii. A w siedemdziesiątym piątym po raz pierwszy na Zachód.

Słyszałem, że zobaczyliście wtedy Monte Cassino. To pasuje do historycznej pasji twego ojca.

Tak, ale pierwsze spotkanie z Zachodem to była Austria. Pamiętam jak dzisiaj: wszystko kolorowe, nowoczesne drogi, czyste domy, reklamy, nawet pachniało inaczej. Miałem dwanaście lat i to było dla mnie zderzenie z innym światem, które zmieniało perspektywę. Potem ruszyliśmy do Rzymu i na Monte Cassino. To też było niesamowite, głównie dlatego, że tam można było spotkać polskich weteranów. Przyjeżdżali z Londynu i byli w doskonałej formie fizycznej i psychicznej. Można było z nimi poważnie porozmawiać. Fascynujące, jak stajesz oko w oko z kimś, o kim uczyłeś się z książek do historii. Byliśmy na

wszystkich polskich cmentarzach wojskowych we Włoszech. Ciekawe, że podczas tych podróży – praktycznie wszędzie, w Anglii, Holandii, we Włoszech – spotykaliśmy znajomych ojca. Z młodości, czyli ze Lwowa.

Jaki mieliście samochód, że się wdrapał na Monte Cassino?

Fiata 125p, ale ten model ze światłami podłużnymi z tyłu, a więc absolutny luksus. Przedtem mieliśmy białego trabanta, po nim też trabanta.

A tobie jak się żyło w Opolu, mieszkanie duże?

Z siedemdziesiąt parę metrów. Brat miał pokój, ja miałem pokój, rodzice trzeci.

Raczej luksus.

Kiedy brat w 1972 roku pojechał na studia socjologiczne do Poznania, no to był już zupełny luksus, bo we trójkę w tym mieszkaniu byliśmy.

A samo Opole?

Fajne, ciekawe, dobra szkoła, koledzy, podwórko.

Twoja mama powiedziała kiedyś w bardzo szczerym wywiadzie, że się nie za bardzo uczyłeś, raczej czytałeś i kopales piłkę.

Czytanie zawsze można podciągnąć pod naukę, prawda (śmiech)? Ale fakt, że całe moje dzieciństwo to piłka i książki. Ja dosyć szybko nauczyłem się czytać. I potem w szkole radziłem sobie nieźle nie dzięki jakiejś nadzwyczajnej pilności, ale właśnie dzięki odczytaniu. Dużo hi-

storycznych książek. Niełatwo było je dostać, ale mama miała znajome, tata uczennice w księgarniach, więc jako się zaopatrywaliśmy. To pierwszy obieg. Ale jak zaczęliśmy wyjeżdżać na Zachód, przemycaliśmy do Polski „Zeszyty Historyczne”, paryską „Kulturę” i książki. Andersa *Bez ostatniego rozdziału*, Inny świat Herlinga, Sołżenicyna, Bukowskiego – to były dla mnie fundamenty. A z krajowych gazet czytałem katowicki „Sport”, gdzie były opisane wszystkie mecze ligowe. Przychodził do Opola w każdy wtorek, od rana czekałem, żeby go kupić. Mama zawsze we wtorki miała dyżur w bibliotece i wszystkie gazety, tygodniki z weekendu dostawałem hurtem. Natomiast ojciec kupował „Życie Warszawy”, „Trybunę Opolską” i „Forum”, czyli przedruki z prasy zagranicznej, małe okno na świat. Pamiętam takie zdarzenie. Kiedyś kupowałem „Panoramę Śląską”, bardzo mi zależało, bo na końcu było zdjęcie piłkarskiej reprezentacji Holandii. To moja ulubiona drużyna lat siedemdziesiątych. „Panorama” kosztowała sześć złotych, ale żeby ją kupić, trzeba było też wydać złotówkę na „Trybunę Ludu”. Dobra! Dałem złotówkę za „Trybunę Ludu” i sześć za „Panoramę”. Przyniosłem to razem do domu, a ojciec mówi: „Co masz?”. Ja: „Holandia, zobacz tato, holenderska drużyna”. „Ale pytam się o to” – i pokazuje na „Trybunę Ludu”. „To kazali mi kupić”. „Nigdy tego nie rób” – mówi. „Ale tato, nie dostałbym Holandii”. „Nie możesz tego robić, pamiętaj, to nie jest gazeta. Warto poświęcić Holandię”.

Stłukł cię kiedyś ojciec?

Nie, nie. Wiesz, był nauczycielem. Zbyt dobrym, żeby bić. Dużo ze mną rozmawiał.

Pytam, bo ludzie mają różne historie z ojcami.

Nawet jak się czasami na mnie zdenerwował, to nigdy nie bił, choć ja byłem czupurny. Rodziców najbardziej martwiło, że się nie uczę. Bali się, że obleję maturę – bo przecież matematyka jest obowiązkowa! Nie chciałem ich martwić, więc brałem podręczniki, zeszyty, wychodziłem i mówiłem, że się idę uczyć. Ale na parapecie czekały buty, koszulka i spodenki. I szliśmy grać w piłę. Rodzicom w głowie się nie mieściło, że przy takim podejściu można zdać. Do tego w Opolu trochę się działo. Były konfrontacje filmowe, festiwałe, dużo koncertów, zespołów... No i Odra Opole!

Ostro kibicowałeś?

Ojciec pierwszy raz zaprowadził mnie na mecz, jak miałem trzy lata. A potem czy mróz, czy śnieg, obowiązkowo. Matka zawsze miała pretensje, że idę. Ale tata – on nauczył mnie i brata miłości do piłki, że to sport, że to zespół.

Opolszczyna to także mniejszość niemiecka. Jak dwie społeczności – dzieci imigrantów ze wschodu i dzieci „tubylców” – żyły ze sobą?

Mój kolega Mirek Marek w piątej klasie podstawówki nagle wyjeżdża. Ale jak to? Siedzimy w jednej ławce, w piłkę gramy. Co się właściwie stało? On milczy. Powtarza tylko: „Musimy jechać, w przyszłym tygodniu jedziemy”. Potem rodzice mi wyjaśnili, że to byli Niemcy. Ściślej mówiąc – Ślązacy, autochtoni, którzy walczyli o możliwość wyjazdu do Niemiec w ramach łączenia rodzin. Ślązaków nazywaliśmy hanysami. Mieszkali przeważnie na podopolskich wsiach, mieli rodziny w Niemczech, sprzęt

niemiecki. Przyjeżdżali autobusem do Opolą, do podstawówki, potem do liceum. Po maturze w 1981 roku większość z nich wyjechała. Spotykamy się raz na pięć lat, w ramach spotkań klasowych II Liceum imienia Marii Konopnickiej, tak więc kontakt mamy.

Moi koledzy z Torunia w latach osiemdziesiątych też powyjeżdżali do Niemiec. W czasie wojny Toruń, podobnie jak Opole czy Wrocław, był częścią Rzeszy. Wszyscy mieli „trzecią grupę”, byli „folksdojczami”, w prawie każdej rodzinie był „dziadek w Wehrmachcie”. I potem awantury z ludźmi, którzy przyjechali z Kresów albo z Kongresówki i tego nie rozumieli. U was nie było kłótni o historię pomiędzy „kresowiakami” i „hanysami”? Nie, zresztą komuniści załatwiali to prosto. Żadnej prawdziwej pamięci, żadnych komplikacji. Opole? Stolica polskiej piosenki. A tutaj Ostrówek – pierwsze plemiona słowiańskie, które tu na wyspie zrobiły gród warowny. A potem Bolko, Władysław Opolczyk, odwieczne ziemie piastowskie... i tyle refleksji.

Opowiedz mi jeszcze o PRL-u. Twoje dzieciństwo to lata siedemdziesiąte. Wczesna gierkowszczyzna – małe i duże fiaty, spust surówki, a nawet Pewexy. Nie przyszła ci ani razu do głowy myśl, że może twoim rodzicom „odbiło”? Narzekacie, „spiskujecie”, a tu jest nawet fajne, dość wygodne życie. Brat dostał kurtkę Wranglera za 10 dolarów. Całe podwórko ją oglądało. Ojciec pracował dużo, na dwóch etatach, więc rzeczywiście w domu było wszystko co trzeba. Ale PRL nigdy mnie nie skusił. Wiesz, w siedemdziesiątym szóstym roku byłem z rodzicami na „Człowieku z marmuru”.

To wcale nie jest prosty film, jakiś prostacki pamflet na PRL. Ale nie ma lepszej rozprawy z obrazem komunizmu, stalinizmu niż to, co pokazał tam Wajda. Historia Birkuta, tych trójek, Nowej Huty... To oddawało genialnie absurd tamtego systemu. I potwierdzało moje myślenie oraz wybór moich rodziców. Nie miałem nigdy żadnych złudzeń. Żadnych.

Harcerzem byłeś?

Oczywiście. Nawet chcieli mnie zapisać do HSPS-u. Pamiętasz organizację? Harcerska Służba Polsce Socjalistycznej?

Zamiast chust nosili krajki. I była taka zbuntowana piosenka, gdzie występował HSPS: „Nie chcemy haespeesu, lepsi są ruscy pionierzy”.

Krajka była czerwona, bluza piaskowa. Odmówiłem przystąpienia do HSPS-u. Dyrektor, dywanik. Dlaczego? Powiedziałem, że jestem harcerzem, ale na sposób Baden-Powellowski.

25

W socjalistycznej szkole wywołałeś Roberta Baden-Powella, twórcę imperialistycznego skautingu? Lorda angielskiego? Pan dyrektor musiał być zły.

Owszem, ale włos mi z głowy nie spadł. Rodzice byli znanymi nauczycielami, więc mnie nikt nie gnębił. Po prostu obniżono mi ocenę z zachowania.

Na 1 maja maszerowałeś w oficjalnych pochodach?

Ojciec musiał chodzić, więc dobrze rozumiał, dlaczego ja nie chcę tego robić. Tylko trzeba mnie było „ukrywać”. No więc uciekałem jak mogłem z tych pochodów.

Zacząło się od uciekania z pierwszomajowych pochodów i oglądania „Człowieka z marmuru”, a skończyło na wymalowaniu na ścianie napisu „Napad ZSRR na Polskę, 17.09.1939”.

Namalowaliśmy to w osiemdziesiątym. Ale taka zbuntowana atmosfera zaczęła się pojawiać już w 1979. Opole było światłem odbitym od Wrocławia albo Krakowa. Ktoś przywiózł ulotkę, ktoś coś opowiedział.

I brat był w Poznaniu.

Tak, ale Poznań nie był taki wybuchowy jak Wrocław czy Kraków. Po Sierpniu 1980 brat zaangażował się ostro w „Solidarność”. Ale działał się i wcześniej. Na przykład w 1979 roku poprzez brata poznałem Rafała Grupińskiego, który już wtedy spiskował w Poznaniu, oni w czasach studenckich mieszkali w jednym akademiku.

To opowiedz o tym „Katyniu”, bo to był pierwszy konkret twojej „polityki”, praktyczne wnioski, jakie wyciągnęłeś z rozmów z rodzicami.

I z tego, co działało się wokół. Duży napis na ulicy Kościuszki, niedaleko naszej szkoły. Nie było wtedy sprayów. Tak że wiesz, farba w słoikach i pędzle. Dwóch maluje, dwóch stoi na czatach, na najbliższych przecznicach. Kolega jeszcze KOR domalował tam z rozpędu, choć oczywiście w żadnym KOR-ze nie byliśmy. Akcja odbyła się wieczorem po dwudziestej drugiej. Rano afera. Milicja w szkole. Pytają, czy ktoś coś słyszał. A ja patrzę na swoje dłonie i zauważam, że mam czerwone paznokcie, od farby. Człowiek młody, zmęczony po akcji. Nie domyłem, a rano zaspany pobiegłem do szkoły. Na szczęście

nie chodzili po klasie, nie sprawdzali. Gdyby to zrobili, trudno byłoby się wykpić. Potem ten napis zamalowali. Jednak wcześniej matka przyszła z pracy do domu i mówi: „Była jakaś akcja, mały sabotaż. Widziałam to, jak szłam do pracy”.

Byłeś dumny z siebie?

Oczywiście w domu się nie przyznałem. Ale byłem dumny. To była pierwsza w tamtych czasach w Opolu demonstracja polityczna. Powiem ci, że to poprawiło nam humor, bo Opole miało kompleks Wrocławia i innych większych ośrodków. Zawsze. W 1976 przyjechała do nas rodzina z Radomia. Opowiadali, jak płonął komitet, jak ludziom z Komitetu Wojewódzkiego kazali jeść legitymacje partyjne. Tymczasem w 1980 roku w Polsce strajkowali, buntowali się, a u nas cisza. Najwyżej pociąg z Wrocławia wjechał na dworzec z wulgarnym napisem: „Opolanie, Ślązacy, to ch...je nie rodacy”.

27

Na takie wezwanie musiałeś zareagować.

Jak w 1980 roku zaczęły się strajki, byłem na wakacjach z rodzicami we Włoszech. Chodziliśmy do kiosku oglądać włoskie gazety, w których były zdjęcia z protestów. Kiedy wróciliśmy w sierpniu, strajki były rozkręcone, trwały w najlepsze. Wiedzieliśmy, co i jak. Słuchaliśmy RWE.

Media państwowe nie mówiły o strajkach, tylko o „nieuzasadnionych przerwach w pracy”.

Jasne! I że banany oraz pomarańcze gniją w portach bez rozładunku.

Myślałeś, że to już jest to? Że coś z tego wyjdzie?

Ja byłem bardzo radykalny. Jak Wrocław ruszył w sierpniu, to wiedziałem, że będzie dobrze. Bo kiedy na początku stanęła północ kraju: Szczecin, Gdańsk, nie było pewności, czy to przejdzie dalej na południe. Mogło się skończyć tak jak w grudniu '70, pacyfikacją. Ale kiedy stanął Wrocław, tramwaje, autobusy, największe zakłady, było już dla mnie jasne, że tego się nie powstrzyma.

Porwał cię karnawał „Solidarności”?

Na tyle, na ile to było możliwe w Opolu. Ale po drodze stało się coś bardzo ważnego. Mój brat skończył już socjologię w Poznaniu, ożenił się i pracował jako socjolog w Zakładach Energetycznych w Bydgoszczy. No i został tam członkiem Międzyzakładowego Komitetu Założycielskiego NSZZ „Solidarność”, na czele z Janem Rulewskim. Prowadził Wszechnicę „Solidarności”, pojawiali się u niego ważni i ciekawi ludzie: Adam Michnik, Karol Modzelewski... Tam mówiło się o historii, o doświadczeniach wojennych, o relacjach z Rosją.

Miałeś więc informacje z pierwszej ręki. A do tego właśnie w Bydgoszczy, w marcu 1981 roku, doszło do brutalnego pobicia działaczy związku.

Historyczny moment. Dziewiętnastego marca na sesję Wojewódzkiej Rady Narodowej przychodzą działacze „Solidarności”. Mają być omawiane sprawy rolnictwa. Wkracza milicja i SB. Zaczynają bić delegatów związku. Jan Rulewski, który był wtedy szefem „Solidar-

ności” w regionie, Mariusz Łabentowicz oraz Michał Bartoszcze z rolniczej „Solidarności” zostają skatowani. Miałem ciekawą perspektywę z wewnątrz, poprzez opowieści brata. Bydgoszcz była w centrum uwagi, cały świat patrzył na Bydgoszcz. Mogło się zacząć coś naprawdę dużego. To był szczyt możliwości organizacyjnych „Solidarności”. A władza komunistyczna, partia... były w defensywie.

Miliony ludzi wzięło udział w strajku ostrzegawczym. Ja byłem wtedy w maturalnej klasie w Toruniu, a więc bardzo blisko Bydgoszczy. Wszystkie szkoły zastrajkowały, nasza partyjna polonistka uciekła z klasy, „żeby nie być odpowiedzialna za zachowanie uczniów, którzy przerwali lekcje”.

Zdjęcia były wstrząsające – Rulewski miał zmasakrowaną twarz, Bartoszcze złamaną żuchwę. Krew, wybite zęby. Związek groził strajkiem generalnym. A w czasie ostrzegawczego ludzie zamknęli się w zakładach pracy, nawet w Opolu, nawet w Prudniku. Cały Związek przeniósł się do fabryk: sprzęt, poligrafia. Strajk ostrzegawczy pokazał, że Polska jest zmobilizowana, nie tylko w takich miejscach, gdzie „Solidarność” była naprawdę silna i taka stuprocentowa. Wspomniałem ci o bracie, on opowiadał mi o tym, co działo się na zapleczu tzw. kryzysu bydgoskiego, jak wyglądała sytuacja w „Solidarności”. Lech Wałęsa podjął dialog z władzą, żeby jakoś rozwiązać konflikt, zażegnać widmo strajku generalnego i być może interwencji sowieckiej. Jednak w negocjacjach przekroczył mandat, jaki mu dali związkowcy. Giął zasady, jak mógł, żeby się dogadać.

Ciekawe jest to, że w telewizji państwowej porozumienie warszawskie kończące kryzys bydgoski ogłaszał wtedy Andrzej Gwiazda, przeciwnik Wałęsy i jastrząb związkowy.

Wałęsa był wytrawnym politykiem. Rozumiał, co się dzieje, i wmanewrował Gwiazdę w obwieszczenie całej Polsce kontrowersyjnego dealu z komunistami. Ale potem i tak musiał to wszystko dać do zaakceptowania związkowi, czyli czekała go bitwa na posiedzeniu „Krajówki”. Ta bitwa miała miejsce 5 czerwca 1981 roku w Zakładach Naprawczych Taboru Kolejowego Bydgoszcz, gdzie zebrała się Komisja Krajowa NSZZ „Solidarność”. I mój brat mnie tam zaprosił.

Byłeś na tej sali? Czyli tam po raz pierwszy widziałeś realną politykę.

Właśnie tak. Radykałowie natychmiast zaatakowali Lecha Wałęsę. Zarzucali mu, że zdradził. Widziałem kapitalne wystąpienie ekspertki „Solidarności” Jadwigi Staniszkis, świetnie analizowała sytuację, osłaniała Wałęsę. No i sam Lech Wałęsa, coraz bardziej zniecierpliwiony. On przecież uważał, że uratował sytuację. A tutaj się go czepiają? Ciekawe, że jednym z jego największych krytyków był tam Eligiusz Naszkowski z Piły.

Później się okazało, że to agent SB. Zapamiętałeś go?

Ze względu na rzadko spotykane imię i na to, jaki był zapalczywy. Potem wyszło, że jest TW i prowokatorem. Wiele razy się okazywało, że najwięksi radykałowie w istocie są po drugiej stronie barykady.

Ale nie można powiedzieć, że wtedy Wałęsę atakowali tylko agenci. Większość „krajówki” była oburzona. Przeciw był Andrzej Rozpłochowski, szef regionu śląsko-dąbrowskiego, i Andrzej Słowik z Łodzi. A Karol Modzelewski na znak protestu przeciwko „niedemokratycznemu działaniu przewodniczącego” zrezygnował wtedy ze stanowiska rzecznika prasowego Komisji Krajowej. Widziałem narastające zniecierpliwienie Wałęsy i jego ogólną niechęć do doradców. Ale wiedział, że jego krytycy już nic nie mogą zrobić. Porozumienie było podpisane, strajk generalny odwołany. Jednak emocje były straszne. A ja tam siedziałem, widziałem wszystko z bliska. Uczyłem się polityki.

Czy wtedy uważałeś, że Wałęsa ma rację? I jak na to patrzysz dzisiaj?

Miałem osiemnaście lat i sam byłem radykałem. Wydawało mi się, że to jest ten czas, w którym można uderzyć, zastrąjkować i cała Polska stanie. A Wałęsa się cofa!

Czyli uważałeś, że pan przewodniczący dał ciała.

Przeczytałem wszystkie książki o Armii Krajowej, o Szarych Szeregach, o konspiracji, nawet o Narodnej Woli...

Czyli o rosyjskiej rewolucyjnej młodzieży, z której później wyrosli także bolszewicy.

Wtedy robiące zamachy na carskich oficjeli. Generalnie konspiracja mnie fascynowała: przekazywanie informacji, zachowanie bezpieczeństwa, organizacja protestów. Jedno widziałem i wiem do dzisiaj: bez odpowiedniej atmosfery, bez mobilizacji społecznej nie ma co wchodzić

w duży strajk, bo on się nie uda. A wtedy, po pobiciu Ru-
lewskiego, taka mobilizacja była.

**Nie tylko Wałęsa, ale także kardynał Stefan Wyszyński był
wtedy za porozumieniem, spotkał się nawet z Jaruzelskim.**

Kościółowi zależało na tym, żeby wylać tę oliwę na wzbu-
rzone fale, żeby nie doprowadzić do konfrontacji. A pro-
paganda rządowa cały czas nadawała, że kraj upada, bo
inicjatywę przejęli ekstremiści, KOR-owcy, eksperci finan-
sowani z zagranicy... No tak, ale rozważania, co by było,
gdyby „Solidarność” zachowała się inaczej, nie mają dziś
większego sensu. Nigdy się nie dowiemy, co by się stało,
gdyby konfrontacja odbywała się na warunkach „Solidar-
ności”, a nie parę miesięcy później, kiedy ludzie byli już
zmęczeni i nie mieli nadziei. Być może komuniści musie-
liby się cofnąć, to dałoby pole do kolejnego kompromisu.
Ale równie prawdopodobne było to, że strajk generalny
by się zakończył masakrą.

32

**Iesienią 1981 roku odbył się zjazd „Solidarność” w gdańskiej
Hali Olivia. Czy też to obserwowałeś jako przedwcześnie po-
litycznie dojrzały młodzieniec?**

Kłótnie były paskudne, choć przez to można było zoba-
czyć także całe bogactwo i zróżnicowanie tamtej „Soli-
darność”. Ale Lech Wałęsa wygrał już w pierwszej turze.
Daleko za nim byli Jurczyk, Gwiazda, Rulewski. Pamię-
tam, jak zaraz po swoim wyborze Wałęsa powiedział, że
nie będzie tworzył „sekciarstwa”, ale będzie je „rozwa-
lał”. Mówił: „Pamiętajmy, że pojedynczo znaczymy nie-
wiele, a razem znaczymy bardzo wiele, proszę, idźmy tą

drogą do zwycięstwa". Z tych paskudnych kłótni mogła narodzić się demokracja. Wałęsie zależało na zwycięstwie i potrafił przekonywać do siebie ludzi. On chciał wysoko wygrać, żeby mieć mocny mandat do kierowania związkiem i negocjowania z władzą. Jako młody człowiek inaczej na to spoglądałem, ale tam była prawdziwa demokracja, także głosy radykałów były bardzo autentyczne. To wszystko było też wykorzystywane przez SB, ale Wałęsa, który grał o wszystko, wtedy jednak wygrał. Tyle że potem był coraz bardziej samotny, coraz bardziej brał to wszystko na siebie – w sensie kierowania związkiem, prowadzenia rozmów z komunistami. Coraz bardziej uważał, że to jest jego wyłączna odpowiedzialność, żeby przeprowadzić „Solidarność” przez trudne czasy. On ma jednak wielką intuicję i chyba czuł, że czas tego „wypuszczenia” ich przez komunistów, tej pozostawionej im pozornej swobody, wkrótce się skończy. Koegzystencja wolnego związku zawodowego z autorytarną władzą w centrum komunistycznego kraju należącego do całkiem jeszcze wówczas stabilnego komunistycznego obozu była niemożliwa. Wałęsa myślał o tym przez pryzmat swojej osobistej odpowiedzialności. Jak przeprowadzić to w taki sposób, żeby nie było rozlewu krwi. Myślę, że był też pod dużym wpływem Kościoła.

Który go hamował.

Na pewno tak. Wpływał na to, żeby za wszelką cenę utrzymywać „rozmowę” i „dialog”.

Słyszę w twoim głosie tamtą ironię, którą dobrze znam. Wtedy my, młodzi, szydziliśmy sobie z tego „dialogu”. Obrywała się Wałęsie, Wyszyńskiemu, Glempowi. Uważaliśmy ich za „mięczaków”.

Znalezienie porozumienia było konieczne, ale pamiętasz, jak władza prowokowała konflikty, prowokowała strajki, wspierała każdą radykalizację... to były działania typowe dla pracy służb.

Czułeś się zniecierpliwiony, rozczarowany, że historia się dzieje, ma swoich bohaterów, a ty jesteś za młody i trochę cię to wszystko omija?

Nie! Ja uważałem, że to już za chwilę: jeszcze matura, jeszcze egzamin na studia. Od października idę na uczelnię i wtedy załatwimy komunę. Byłem przekonany, że ona już umiera. Ale zostało jej jeszcze trochę czasu, akurat tyle, żebym mógł wziąć udział w jej dobiegu. Zresztą jak Jaruzelski ogłosił stan wojenny, też byłem przekonany, że właśnie strzelił sobie samobója. Mobilizacja będzie powszechna, a system zaraz padnie. Mówię ci, byłem młody, byłem radykałem.

Pamiętam, jak obudziłem się rano 13 grudnia w Łodzi, dokąd po zawieszeniu strajku na UMK w Toruniu pojechałem odwiedzić moją ówczesną dziewczynę. Spałem w pustym mieszkaniu jej siostry, która razem z mężem wyjechała właśnie do Australii przez Austrię. Dziewczyna przybiegła rano, mówiąc, że jest stan wojenny, „internowali Wałęsę i Gierka!”. Pierwsza moja myśl była taka: wreszcie koniec komuny, dość tego udawania „dialogu”.

Wszyscy wtedy tak myśleliśmy. Przynajmniej ci młodzi.

Jak kogoś ciągnie do polityki, wybiera studia humanistyczne albo prawnicze. Jednak twój ojciec jako były AK-owiec już wiedział, co znaczy polityka w Polsce, więc bardzo chciał, żebyś poszedł na medycynę.

Tak, oboje rodzice tego chcieli. Ale ojciec szczególnie – przecież uczył chemii. Zawsze żałował, że nie został lekarzem. To dobry zawód, pomaga się ludziom i ma się gwarancję niezależności. Niezależność, to, że masz swój świat, zawsze było dla rodziców ważne. Też tak mam. Nauczylili mnie tego.

Jednak przez większość swojego życia byłeś zdyscyplinowanym politycznym żołnierzem.

To prawda, ale w głębi serca zawsze wolałem „iść na swoje”. Dygresja. Osiemdziesiąty ósmy rok, kończę studia i wiadomo, że przez działalność w podziemiu raczej będę miał kłopot ze znalezieniem pracy. Ojciec wziął mnie na rozmowę. Mówi, że z matką podjęli decyzję. Oddadzą mi samochód i będę mógł sobie jeździć na taksówce.

W 1981 roku, mimo obaw rodziców i ciągłego grania w piłkę zdałeś maturę, nawet z matematyki, która była wtedy obowiązkowa.

Piątka z polskiego i czwórka z matematyki, w dawnej skali od dwa do pięć. Matematyczka nie mogła uwierzyć, że sam rozwiązałem.

Akurat, sam rozwiązałeś, ci „dobrzy z polskiego” mieli różne sposoby.

Sam! „Skonsultowałem” jedno zadanie z kolegami, czy dobrze myślę, czy to właściwy kierunek. Ale nawet to najtrudniejsze zadanie później zrobiłem sam. Liczyłem nawet na piątkę, ale pani profesor uznała, że to by było za mocne przegięcie, biorąc pod uwagę niewielki entuzjazm, z jakim udzielałem się na jej lekcjach przez cztery lata. Zostałem z czwórką i lekkim niedosytem. Ustnie zdawałem historię i angielski.

Wiem, że nie lubisz widoku krwi. Dlatego nie chciałeś zdawać na medycynę?

Nie pamiętam powodów. Ale mogło być także to. Do dziś nie lubię widoku krwi. Wybrałem prawo. 1981 rok był takim okienkiem normalności. Na studia dostawał się ten, co zdał egzaminy. Przez ten jeden rok układy nie grały takiej roli jak zazwyczaj w PRL-u. Nie miałem punktów za pochodzenie, ale się dostałem. Poszedłem na prawo w sumie dlatego, że tak doradzili mi rodzice.

Kiedy już stracili nadzieję, że pójdziesz na medycynę.

Studia prawnicze wydawały się jakąś w miarę bezpieczną alternatywą. Ja myślałem o archeologii: Morze Śródziemne, Troja...

Tak, Troja, prędzej siedziałbyś z pędzlem i szpadłem w jakimś dołku pod Biskupinem.

Nawet do Biskupina mógłbym nie dojechać. Siedziałbym w wykopaliskach pod Opołem, przy cementowni. Prawo było dla mnie o tyle dobre, że do zdania była historia, geografia i angielski. W tych przedmiotach czułem się

mocny. I to był zupełnie uczciwy egzamin. Jak mówię, nie było żadnego załatwiania. W sumie to nawet nie przypuszczałem, że się dostanę. Na prawo startowało wtedy jakieś 18 osób na jedno miejsce. Napisałem jak umiałem i pojechałem na wakacje, na słynny festiwal do Jarocina, bo grało tam TSA.

Szalałeś przy TSA? Miałeś długie włosy?

Włosy miałem normalne, no może ciut dłuższe niż normalne, zapuściłem je dopiero w stanie wojennym. A do TSA miałem stosunek osobisty. Nie dość, że lubiłem ich muzykę, to jeszcze chodziłem do Empiku na angielski z Markiem Kapłonem, perkusistą grupy. Kapłon po rozstaniu z TSA grał z Dżemem, współpracował z Martyną Jakubowicz i Tadeuszem Nalepą. Absolutnie najwyższa liga. Potem spokojnie pojechałem do Łeby. Wracam, dzwonię do dziekanatu, sekretarce się nawet specjalnie nie chciało sprawdzać: „Na pewno się pan nie dostał”. Ale przyszło zawiadomienie, że zdałem. Akademika nie dostałem, bo rodzice za dużo zarabiali.

Klasyka. Dostawały dzieci rodziców albo bardzo ustawionych, albo takich, którzy umieli „nie wykazywać żadnych dochodów”.

Moi tacy nie byli. Wynajęliśmy z kolegą stancję, przy Stadionie Olimpijskim, ulica Bartosza Głowackiego. Rodzice przywieźli mnie autem, wyposażyli: konserwy, słoiki, sweater, pościel, wszystko było. Pamiętam jak dziś – rozstaliśmy się we Wrocławiu na placu Wróblewskiego. Potem oni wrócili do Opola, a ja zostałem. Trzydziestego września osiemdziesiątego pierwszego roku.

Ja przeniosłem się z Torunia do Krakowa po drugim roku studiów. Po raz pierwszy życie poza domem, trochę strachu, ale też zachłyśnięcie się wolnością. No i wcale nie mobilizuje to do nauki.

Coś jest na rzeczy. Stałem na tym placu Wróblewskiego, akurat był jakiś festyn. Stoisko „Solidarności”, ktoś krzyczy coś przez megafon, ulotki, jakieś historyczno-patriotyczne książki. Jednym słowem kosmos. Dostaję indeks w zielonej okładce, fajne miasto, ludzie, zaczynam studiować, ale oczywiście natychmiast wciąga mnie polityka. Od razu w listopadzie jest strajk o rektora Hebde.

Partyjny profesor Michał Hebda został przez władze mianowany rektorem w Wyższej Szkole Inżynierskiej w Radomiu na siłę, ze złamaniem procedur. Rozpoczął się wtedy jeden z najdłuższych strajków „solidarnościowych”, wspierający studentów i wykładowców radomskiej uczelni. Trwał od końca października do stanu wojennego.

Praktycznie na wszystkich polskich uczelniach, także we Wrocławiu. Nareszcie się dzieje, a ja jestem aktywnym uczestnikiem. Wydawaliśmy gazetkę, byłem w plakaciarni! No po prostu szczęście! Byliśmy młodzi, najmądrzejsi, wiedzieliśmy wszystko. A do tego mieliśmy kubeł z klejem, ulotki i mogliśmy oblepić całe miasto informacjami o tym, że walczymy.

Długo się w tym semestrze nie nastudiowaliśmy.

Raczej nie. Niecały miesiąc, żeby się zapisać na wszystkie zajęcia. Potem już leżeliśmy w śpiworach na ławkach i podłogach sal wykładowych. Strajk rozlał się po całej

Polsce, a pod sam koniec była brutalna pacyfikacja strajkującej Wyższej Szkoły Pożarnictwa w Warszawie. Jeszcze przed stanem wojennym pojawiły się helikoptery i ZOMO.

Czy ty już jakoś zaistniałeś na tym strajku?

Byłem na pierwszym roku, ale robiłem akcje ulotkowe, pracowałem w drukarni, ci wszyscy ludzie obsługujący strajk to byli studenci pierwszego i drugiego roku. Siedzenie przez trzy tygodnie w zamkniętych salach wykładowych, spanie na ławkach, trochę nas to wykańczało, więc chętnie chodziliśmy na wiece, które u nas na prawie odbywały się w sali nr 418 na czwartym piętrze, bo była największa.

Ale wtedy byłeś jeszcze jednym z wielu?

Tak, nie byłem żadnym szefem, byłem od roboty – drukowania, plakatowania, wszystkich tych działań, do jakich używa się młodych ludzi, którzy chcą mieć poczucie, że są żołnierzami dobrej sprawy.

Strajk na większości uczelni został zawieszony dosłownie na dzień, dwa przed stanem wojennym. Pod wyraźnym naciskiem „starszych” działaczy „Solidarności”, a także biskupów. Starsi wiedzieli już, co się święci.

My nie uważaliśmy, że walka jest skończona. Dla nas to była tylko krótka przerwa. Ja pojechałem do domu, przebrać się, wziąć rzeczy. Nie mogłem spać w łóżku, bo po miesiącach śpiwora i twardej ławki było mi zbyt miękkko.

Nie było za dużo czasu na przywykanie do łóżka, bo generał Jaruzelski ogłosił stan wojenny.

Ruszyłem do Wrocławia, chociaż był zakaz poruszania się. Telefony wyłączone. Godzina policyjna. Tramwajów nie ma.

Chwileczkę, 13 grudnia jesteś u rodziców w Opolu. Następnie dnia mówisz: mamo, tato, jadę. I co?

Jak to co? Do Wrocławia jadę.

Nie uwierzę, że byli szczęśliwi.

Powiedziałem, że muszę po rzeczy pojechać. Raczej się domyślali, po co muszę tam jechać. Jak dojechałem, poszedłem do kolegi, do jego domu na Wiśniowej i zaczęliśmy to jakoś ogarniać.

Czyli?

Wrocław strajkował, wiele zakładów. Władysław Frasiński się ukrywał, nie złapali go, jak wracał z posiedzenia Komisji Krajowej w Gdańsku. Do podziemia zeszli Pinior i Bednarz. Oni organizują opór, a my rwiemy się do pomocy. Zresztą co innego robić. Zima jak diabli, uczelnia zamknięta. Zaczęliśmy odtwarzać struktury NZS-u, Niezależnego Zrzeszenia Studentów. W naturalny sposób, bo przecież byliśmy aktywni w czasie strajku o Hebdę, więc niejako mieliśmy „legitymację”. Na dodatek znów byłem w grupie radykałów, bo jak „starsi” zaczęli apelować, żebyśmy zawiesili strajk, to ja z kolegami byłem oczywiście na „nie”. Czyli już mieliśmy ekipę, wiedzieliśmy, na kogo można liczyć. Późniejszy prezydent Wrocławia Bogdan Zdrojewski był wtedy szefem NZS-u. Zamknął się na uniwersytecie. Głównie z pracownikami naukowymi,

studentów było niewielu. Myśmy byli w zakładach pracy. Na Grabiszyńskiej, tam ruszyły drukarnie. Niemal od razu zaczęliśmy kolportaż bibuły.

Kiedy poczułeś, że to już nie jest zabawa w wojnę, ale zwyczajna polska tragedia?

Po „Wujku”. Przyjechał pociąg ze Śląska i ktoś z pasażerów powiedział, że strzelano w kopalniach i zamordowano strajkujących górników. Zaraz później potwierdzono to w Wolnej Europie, a w końcu także w oficjalnych mediach.

Co wtedy poczułeś?

To była rocznica masakry na Wybrzeżu w Grudniu '70. Było przekonanie, że ta władza jest taka sama jak tamta, że to ciągle są komuniści, ciągle strzelają do robotników, jak wtedy. W dodatku mój brat siedział, siedziała bratowa, która redagowała w Bydgoszczy związkowy tygodnik. I był problem z ich dzieckiem, trzyletnim Michałem. Żeby władza nie wzięła go do sierocińca, sąsiedzi przenieśli dzieciaka do rodziców mojej bratowej. Potem brat z żoną podpisali pełnomocnictwo, żeby można było oficjalnie Michała przekazać pod opiekę dziadków. Ale esbecy ciągle grozili, że zaraz wezmą go do domu dziecka. Więc atmosfera u nas w domu na Wigilię nie była najlepsza. Ludzie giną, brat z bratową w więzieniu, dziecko bez rodziców. Puste krzesło przy naszym stole, które zostawia się dla niespodziewanego gościa, było wtedy symbolem tego wszystkiego. Ciągłe na nie patrzyliśmy i mieliśmy łzy w oczach. Brat siedział w Potulicach. Tam było kiedyś takie klasyczne pruskie więzienie, ciężki zakład kar-

ny dla recydywy. W czasie wojny obóz koncentracyjny, a za PRL-u znowu ciężkie więzienie dla recydywistów. Po kilku miesiącach mojego brata razem z innymi internowanymi przeniesiono do Strzebielinka, nad morze, niedaleko Żarnowca. To był już bardziej „nowoczesny” zakład karny, siedzieli tam razem z działaczami „Solidarności” z Torunia i Gdańska.

Mogliście go odwiedzać?

Samo widzenie trwało ze dwadzieścia minut, wcześniej jechało się przez całą Polskę, a później wracało. Do Potulic najpierw pociągiem z Opola do Bydgoszczy, a potem PKS-em. Trudno było się dostać do przepełnionego autobusu, ale jak rodzice mówili kierowcy, że jedziemy do internowanego syna, to nas wpuszczał, zawsze działało. W czasie tych odwiedzin najtrudniejsze było pożegnanie, zamykanie kraty. Mnie to wkurzało, byłem najbardziej radykalny z całej rodziny, ale rodzice inaczej to przeżywali, byli załamani. Młodzi ludzie odbierają to inaczej. Czytałem wtedy podobne historie z różnych czasów polskich walk o niepodległość, jak takie doświadczenie buduje u młodych radykalne postawy. To faktycznie zostaje na lata – do dzisiaj pamiętam jasnobrązowe lamperie malowane olejną farbą i szczęk kluczy przekręcanych w takich starych pruskich zamkach.

Nie byłeś rozczarowany tym, że dziesięciomilionowy związek nie był w stanie się bronić? Ja pamiętam, jak szedłem przez Toruń wcześniej rano drugiego dnia stanu wojennego, przechodziłem koło pustych, zdemolowanych akademików, które

ZOMO zdobywało poprzedniej nocy, żeby internować kierownictwo NYS-u. Ludzie jechali pierwszymi tramwajami do pracy, miasto było ciche i totalnie spacyfikowane. Wtedy pierwszy raz zacząłem rozumieć, że to będzie klęska.

Myśmy się we Wrocławiu przez jakiś czas przed takimi myślami bronili. Bardzo szybko zaczęliśmy konspirację, na ogromną skalę. U nas było dużo ludzi ze Wschodu, ze Lwowa czy z Wilna, którym rodzice opowiadali o wojnie, o tych wszystkich „piątkach” i zasadach konspiracyj. I my tak samo wszystko organizowaliśmy; jak na przykład w jednym mieszkaniu był druk, a w sąsiednim punkt kolportażu, to te osoby przez całe lata nic o sobie nie wiedziały. Na samym początku myśleliśmy, że za parę miesięcy wrócimy na uczelnie, a komuny już nie będzie, „zima wasza, wiosna nasza”. Zresztą wszystkie uczelnie były pozamykane do połowy lutego. Studenci przyjeżdżali konspirować do Wrocławia nielegalnie, bo przecież nie można było przekraczać granicy województw. A kiedy wróciliśmy na studia pod koniec lutego, zaczęła się bardzo mocna konspiracja z planem takim, że w maju będzie strajk generalny. We Wrocławiu mimo stanu wojennego czuło się atmosferę wolnej Polski. Kolportaż bibuły był zupełnie jawny, nie tylko na uczelniach, ale w tramwajach i autobusach. Ja zacząłem też wozić bibułę do Opola. Każdy organizował kolportaż w mieście, z którego przyjechał. Tam się zostawiło kolegów z liceum, nie wszyscy poszli na studia, więc łatwo było zbudować zaufaną sieć. Strajk generalny i odzyskanie związku wydawało się nam czymś zupełnie pewnym.

GRZEGORZ SCHETYNA (rocznik '63) opowiada historię pokolenia, dla którego dzisiaj przychodzi czas pierwszych biograficznych rozliczeń. To pokolenie ogląda schyłek PRL-u, pełen politycznych paroksyzmów i nagłych zwrotów akcji. Ich pierwszym politycznym przeżyciem jest karnawał pierwszej „Solidarności”, zakończony szokiem stanu wojennego i niekończącą się depresją lat osiemdziesiątych. **Dane im było przeżyć kilka zupełnie niepodobnych do siebie historycznych epok, parę wybuchów ogromnej nadziei, po których przychodziły rozczarowania.**

Jego rozmówcą jest **CEZARY MICHALSKI** (również urodzony w roku 1963). Pisarz i publicysta, który w swoich książkach, wywiadach i tekstach od dawna **kreśli portret pokolenia, do którego oprócz Schetyny należą** postacie tak różne, często ze sobą pokłócone o idee i politykę, jak **Radosław Sikorski, Janusz Palikot, Wiesław Walendziak, Bartłomiej Sienkiewicz, Andrzej Halicki, Joanna Kluzik-Rostkowska, Mariusz Kamiński...**

Znajdziemy w tej książce także opowieść o dojrzewaniu radykałów z lat osiemdziesiątych do realizmu, o uczeniu się polityki, budowaniu państwa. Jednak czytelnik tej książki nie musi się obawiać kombatanckiej atmosfery. **Obaj rozmówcy używają własnych pokoleniowych doświadczeń do tego, żeby zrozumieć Polskę - polską historię, teraźniejszość, marzenia o przyszłości.** A to już więcej niż sprawa jednego pokolenia.

